OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 31 Maja / 12 Czerwca 1867 roku.

Nr 24. Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. Rok III.

TREŚĆ.—**Karczma w lesie**, opowiadanie, skreślił *Wołody Skiba*. — **Do Matki Boskiej**, poezja, przez *Józefa z Mazowsza*. — **List trzeci z podróży na wystawę Paryzką**, przez *Józefa Niepowie*, (z drzeworytem).—**Gawędy warsztatowe**, I. Kalendarz domowy, napisał *Piotr Bywały*.—**Typy Warszawskie.** III. Druciarz, napisał *Wołody Skiba*, (z drzeworytem).—**Korrespondencja od Redakcji Opiekuna Domowego.—Podsłuchane gdzie się zdarzy.**

KARCZMA W LESIE.

OPOWIADANIE

spisał

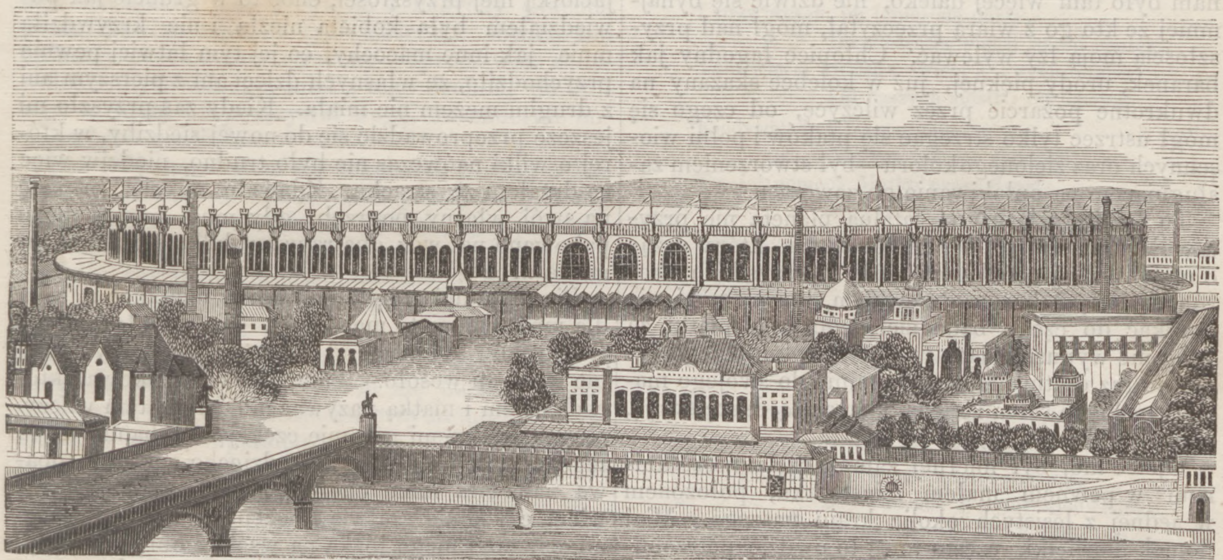
Wołody Skiba.

Urodziłem się pod znakiem barana.

Nie wiem czy tam na czyjekolwiek losy ma jaki wpływ konstellacja, pod którą przyszedłem na świat, a nawet wątpię, żeby jaki gwiazdozbiór dla tego, że go ludzie tem albo owem nazwali nazwiskiem, miał się im za to albo przychylnością dla ich doli wywdzięczać, albo mścić na nich gdy mu się to imie nie podoba. Są to wszystko plotki starej ciotki i nic więcej. W historji jednak mojego życia konstellacya Barana odegrała pewną rolę, nietyle zapewne sama przez się, co przez moją ciotkę, która na pierwszym jarmarku jaki przypadł po moim przyjściu na świat, kupiła moją planetę i odczytała mojej matce.

Dziś z wykorzeniającą się wiarą w przesądy, zapomniano już prawie czem to były tak zwane horoskopy, które u nas nazywano planetami i które po książkach od nabożeństwa, obrażkach świętych sennikach, największy miały pokup na jarmarcznych straganach, zapełnionych drukowanym i malowanym papierem. Planeta na kawałku bibuły, rodzaj luźnej kartki z książki niewielkiego formatu, mieściła w kilkudziesięciu wierszach, szumnie zatytułowanych *kartą filozoficzną nieba i natury*, całą przyszłość chłopca lub dziewczyny przychodzącej na świat, pod tym albo owym znakiem zodjaku. Były tam banialuki niesłychane, a im niedorzeczniejsze, tem lepszą znajdowały wiarę.

Matka moja rozpłakała się i zmartwiła niezmiernie, odczytawszy mój horoskop. Zmartwienie to sprowadziło na nią chorobę, którą wyssałem z pokarmem i która mało nie przecięła tyle obiecujących dni moich w samym zaczątku, choć o tem w planecie najmniejszej nie było wzmianki.



Pałac Wystawy Paryzkiéj.

Już sam ten brak przestrogi co do pierwszego rzeczywistego niebezpieczeństwa jakie mi zagrażało, powinien był osłabić wiarę w proroctwa wydrukowane na bibule, stało się jednak przeciwnie: ta pierwsza choroba jeszcze mocniej utrwaliła przekonanie, że mnie fatalna przyszłość czeka.

— Twój Jaś, kochana siostro, — mówiła ciotka mojej matce — nie będzie ci długą pociechą.... urodził się pod znakiem barana.

— Biedny chłopiec, — wzdychała moja matka i tłumiąc łzy przyciskała mnie do piersi.

Naturalnie, że o tych wszystkich szczegółach dopiero później dowiedziałem się od ludzi. Ludzie mi także pokazali moją planetę, w której czytałem między innemi:

„Chłopiec urodzony w znaku barana jest charakteru bardzo łagodnego, urody pięknej, do koni szczęścia nie ma, jęczmień mu się nie wiedzie, u kobiet względu dozna zdrowie straciwszy. Boi się piorunów i ma wstręt do pająka, co się wykłada: że zdrowie jego słabe jak pajęczyna i piorun śmierci prędko je podetnie. Zwłaszcza jeżeli w dziesiątym i dwudziestym drugim roku nie zje go wilczyca, żyć będzie do lat osmdziesięciu, chyba gdyby wprzód umarł od ospy, dla czego ma nosić sznurek z włosia około bioder i zielonego koloru się wystrzegać, a o nieparzystej godzinie wstawać. Łóżko nogami na wschód, a bydło rogami ku zachodowi obracając. Choroby jego są krwotok i gangrena, lekarstwem szałwia i boże-drzewko na gołem polu w pełnią miesiąca je zbierając. Nów księżyca, wtorek i niedziela są dla niego szczęśliwe dni; pełni i porównania dnia z nocą a także piątki wystrzegać się powinien, zwłaszcza na wiosnę. W liczbie 28 niech ma zaufanie, ale pieniędzy na fant oddanych nie odbierze. W rzemiośle nie tęgi, do roli nie przydatny, wojskowy z niego żaden, zrobi jednak fortunę, jeżeli się od szwanku w kłótni z sąsiadami uchroni. Jadowite grzyby są dla niego niebezpieczne, psa ani kota niech nigdy nie trzyma.”

Kiedy się dziś zastanowię nad tym niedorzecznym zbiorem wyrazów, których o ile sobie przypominam było tam więcej daleko, nie dziwię się bynajmniej że kto go z wiarą przeczytał, mógł nad przyszłością moją łzy wylewać. Chłopiec łagodny jak baranek, urody pięknej, już w kolebce skazany na dwukrotne pożarcie przez wilczycę, od czego się mógł ustrzec tylko strzegąc się ptaków i pełni wiosennych oraz zielonego koloru—był stworzeniem zasługującem na opłakiwanie go zawczasu.

To też kto wie czy ta fatalna planeta nie przyczyniła się bardzo do śmierci matki, która drżąc o moją przyszłość, lecząc mnie z wszystkich chorób szałwią i bożem-drzewkiem, broniąc mi się dotykać do czego bądź zielonego, a w piątki za próg nie wypuszczając, w piątym roku mojego życia po raz osatni przycisnęła mnie do swojego macierzyńskiego serca i zacną, kochającą duszę swoją, Bogu oddała.

Ojciec mój był miernej zamożności mieszczaninem w pewnem małem miasteczku, położonem w jednej z lesistych okolic kraju naszego. Miał domek niewielki, często to tu to owdzie potrzebujący łatania i podpory, a przy nim kawał pola. Było to dostataczne dla nas i mieliśmy na jakie takie życie.

Po śmierci matki, ojciec ożenił się powtórnie, kilka miesięcy tylko będąc wdowcem. Miałem tedy macochę, o której nie mogę powiedzieć żeby była zła, ale zajmowała się mną bardzo mało, czego powód raz posłyszałem, kiedy mówiła do sąsiadki pytającej dlaczego nie posyła mnie do szkółki miejskiej.

— I! moja kumo, po co go ta uczyć, przecie i tak wilczyca go zje.

Usłyszawszy te słowa, które były pierwszym szczegółem jakiegom się z horoskopu mojego dowiedział, przeraziłem się niezmiernie. Pobiegłem do stodoły, położyłem się na słomie; przez pół-godziny co najmniej opłakiwałem moją młodość, która tak marnie zakończyć się miała.

Potem usnąłem i śniła mi się naturalnie wilczyca.

Z czasem uspokoiłem się cokolwiek. Obawa a raczej pewność strasznej śmierci, bo byłbym dał szyję że taki zgon mnie czeka, lubo ciągle przytomna mej pamięci, nie prześladowała mnie tak bezustannie. Oswoiłem się z nią nieco.

Po dwóch latach pożycia z macochą, ojciec mój umarł. Miałem rok ósmy. Pozostałem na opiece macochy, jako sukcessor skromnej po ojcu pozostałości.

Nie upłynął rok od ojca śmierci, gdy macocha moja poszła za mąż powtórnie. Byłem tedy podwójnym pasierbem, miałem ojczyma i macochę.

Ojczymem moim był Marcin Wilk, który trzymał karczmę o kilka wiorst od miasteczka, przy starym gościńcu prowadzącym przez las. Wyprowadziliśmy się zatem do lasu, bo ojczym zostawszy moim opiekunem, schedę moją wydzierżawił jednemu z sąsiadów za czterysta złotych rocznie. Wymieniam tę summę, daje ona bowiem wyobrażenie o wysokości mojej spuścizny.

Niepodobna mi opowiedzieć jakiego strachu mnie nabawiły te zaślubiny mojej macochy i przeprowadziny do karczmy.

Odkąd macochę moją zaczęto zwać Wilkową, odtąd moja dziecinna wyobraźnia zaczęła mi coraz częściej przypominać ową groźną z horoskopu wilczycę. Zdawało mi się przytem niekiedy, że to moja przybrana matka jest ową straszliwą nieprzyjaciołką mej przyszłości, choć to w gruncie jak powiedziałem była kobieta niezła i nie krzywdziła mnie jak inne macochy, co jej tym łatwiej pewnie przychodziło, że własnych dzieci ani z pierszym ani z drugim mężem nie miała. Kiedy zaś przyszło mi jeszcze przeprowadzić się do nowej siedziby, w której o wilki naówczas nie było trudno, niedziw więc że drżałem ze strachu. Zdawało mi się, że jadę na swój własny pogrzeb, gdy mnie mimo oporu pakowano na wóz opatrzywszy kilką szturchańcami na drogę.

Pierwsze dni pobytu na nowem mieszkaniu, były dla mnie niepojętą męczarnią. Nie chciałem się na sto kroków oddalać od domu, chociaż i w domu nie było mi wesoło. Tutaj Wilk i Wilkowa, których ojcem i matką nazywać musiałem, tam wilczyca ze strasznemi na mnie czekająca zębami. Było tego zawiele na ośmioletnie dziecko. Ciągła obawa nabawiła mnie choroby, podczas której nie wiem czy mnie szałwią i bożem-drzewkiem leczono, czy nogi mego łóżka na wschód obrócone były, czy nie trzymano przy mnie psa lub kota, bo całego jej przebiegu nie pamiętam. Dość, że powstałem z tej choroby, a ze zdrowiem wstąpiła we mnie jakaś rezygnacja, otucha. Raz myślałem sobie, że może to nie prawda co macocha do sąsiadki mówiła, drugi raz znowu, że katastrofa która mi zagrażała, mogła się trafić dopiero wtedy, gdy będę bezzębnym staruszkiem. W jedno i drugie na żaden sposób wierzyć nie mogłem, zawsze jednak te myśli pocieszały mnie i dodawały mi ducha.

Z czasem zacząłem sobie nawet rozumować:

— Czyby jednak nie było jakiego sposobu na tę przeklętą wilczycę?.... Najprostszy sposób nie dać się jej zjeść! Gdyby się na mnie rzuciła, to złapać

drąga albo kamienia i w łeb.... Byleby tylko silnie, to bestja nie zipnie nawet.

Z początku takie rozumowania kończyły się nowym smutkiem.

— Ba.... silnie — myślałem, — ja taki mały dzieciak.... lada chłopak w miasteczku dawał mi radę. Wojtek choć o rok tylko starszy, ile razy chciał powalił mnie na ziemię. Antek, ledwie o pół głowy wyższy odemnie, nosił mnie na ręku do koła rynku i wydrzeć mu się nie mogłem. A cóż dopiero wilczyca!....

Przyszedł jednakże czas, że przestałem tak myśleć. Zacząłem spostrzegać się, że rosnę i codzień nabieram siły. Aby ją wypróbować, podnosiłem i dźwigałem rozmaite ciężary. Te próby wyrabiały jeszcze dzielność moich muskułów. Wkrótce zdawało mi się, że z taką siłą jaką mam, mogę się spróbować choćby z wilkiem. Starszych, wyższych, tęższych od siebie chłopców, z łatwością przewracałem na murawę. Wstąpiła we mnie nadzieja, że się nie dam wilczycy. Byłem spokojniejszy i niekiedy nawet zapuszczałem się do lasu.

Dwa lata tak ubiegło, miałem już lat dziesięć i ani razu nie zagroziło mi niebezpieczeństwo przepowiedziane przez autora karty filozoficznej nieba i natury.

Trzeba wiedzieć, że mój ojczym oprócz karczmarstwa i uprawy kawałka pola jakie miał przy karczmie, trudnił się także myśliwstwem i prowadził zaciętą wojnę ze swemi imiennikami, a mojemi nieprzyjaciołmi wilkami. Nie tylko że je strzelał, do otwartego z niemi występując boju, lecz także wojował z niemi na partyzantkę, rozmaite na nie robiąc zasadzki. Skóry wilcze i nagrody płacone przez rząd za tępienie tych zwierząt, sowicie mu opłacały proch i czas stracony—oprócz więc zadowolenia myśliwskiego, miał z tego dochód, do którego niemałą przywiązywał wagę, niezmiernie bowiem lubił pieniądze.

Raz tedy zapuściłem się cokolwiek głębiej w las. Było to z rana, w zimie. Nie pamiętam już czy mnie ojczym posyłał do wioski leżącej o pół mili, do której najbliższa droga przez ścieżkę leśną prowadziła, czy w innym jakim udałem się tam zamiarze, dość że byłem dobrze oddalony od domu, gdy posłyszałem za sobą wilka.

Nie potrzebuję mówić, że w pierwszej chwili zadrżałem. Myśl o zbliżającem się niebezpieczeństwie z początku odebrała mi przytomność, lecz po niejakim czasie opamiętałem się i postanowiłem wykonać mój zamiar, nie poddania się bez walki zębom strasznego zwierzęcia.

Zwróciłem się w tę stronę skąd mnie głos dochodził, sądziłem bowiem że daleko będę bezpieczniejszym mając wilczycę przed sobą niż za sobą; podniosłem z ziemi największy kawał drzewa jaki znaleść i udźwignąć mogłem i zacząłem iść prosto na nieprzyjaciela. Dziś jeszcze nie pojmuję zkąd mi wtedy przyszła do głowy ta myśl, o prawdziwości której wiele razy potem w życiu miałem sposobność się przekonać, że we wszelkim boju atakujący ma więcej widoku zwycięztwa niż atakowany, rozumie się gdy jeden ani drugi nie ma do wyboru pozycji.

Szedłem tak ze sto kroków, kierowany parę razy jeszcze powtórzonem wyciem. Później wycie ustało, ja wciąż szedłem dalej, aż nareszcie ukazał się oozom moim dziwny i niespodziewany widok.

O pół stai od siebie zobaczyłem wilczycę, nie była ona jednak groźną dla mnie. W miejscu w którem się znajdowała, ojciec mój dnia poprzedniego zastawił żelaza i moja nieprzyjaciołka,—groźba wiecznie wisząca nad mojem życiem, znajdowała się w niewoli.

—No, tej się raz na zawsze pozbędę,—myślałem sobie.

I wznosząc w górę drąg puściłem się ku niej, w zamiarze zabicia jej jednem, najsilniejszem na jakie się będę mógł zdobyć, uderzeniem.

Gdy jednak podszedłem blisko zatrzymałem się zdumiony.

Jakieś uczucie zgrozy i litości zarazem wzruszyło mojem sercem na widok, który mi się przedstawił.

Wilczyca złapała się za ogon. Żelaza trzymały ją silnie. Z razu szamotała się chcąc się wyrwać, lecz tego dokazać nie mogła. Później wyciem zaczęła przywoływać pomocy, lecz pomoc nie przybywała. Widząc się więc uwięzioną i pozostawioną samej sobie, chwyciła się jedynego środka jaki jej pozostawał ażeby odzyskać wolność.

Z trudnością zgiąwszy w kłębek swoje cielsko, zębami, temi zębami, które tylekroć mi się śniły, którem nieraz na jawie zdawał się widzieć przed oczyma, zaczęła odgryzać uwięziony ogon.

(d. c. n.)

DO MATKI BOSKIEJ.

Tyś dla nas wieżą, Ty przy ciężkim trudzie,
Życia powracasz rumieńce;
Bo u nas życzą i krzepią się ludzie,
Patrząc w Twój obraz i wieńce.

I przy weselu im lepiej się darzy,
Im szczęścia więcej wśród chatek,
Tém więcej kwiatów świeci z Twych ołtarzy
Od naszych sióstr i od dziatek.

Kiedyśmy byli jeszcze niemowlęta,
Nie raz rodzice spłakani,
Twojej pomocy Matko nasza Święta
Wzywali w nieszczęść otchłani.

I my, z posłania swe główki dziecięce,
Na Święty Twój wizerunek
Podnosiliśmy i składali ręce
O łaskę i ratunek.

I może ciężka trwoga rodzicielska,
Może niewinne rączyny,
Dały nam przez Cię, Królowo Anielska,
Radość jaśniejszej godziny.

Gdy się zdarzyło w młodości burzliwej,
Że świat nas w pracy zachwieje,
Tyś nam zsyłała spoczynek prawdziwy,
Tyś rozjaśniała nadzieje.

Ach! i my dzisiaj rodzice, jak nasi
I dziś u ludzi trosk wiele;
Niech za to dziatkom twarz uśmiech okrasi:
Matko! Ty daj im wesele.

Józef z Mazowsza.

Listy z podróży na wystawę paryzką.

III.

Dnia 19 Maja 1867 r.

Od dwóch tygodni jestem już u kresu mojej podróży, o paręset mil od Warszawy—w Paryżu, a przecież dotąd nie zebrałem się na napisanie listu, i teraz kiedy do niego siadam, kiedy pomyślę że mam zdawać sprawę z tego wszystkiego com widział, to mi się zimno robi i wy-

rzucam sobie po com ja te listy obiecywał i zaczynał. Teraz słówko się rzekło i moje pierwsze pisaniny już pewno wydrukowane, więc się cofnąć niepodobna i wstyd, a tu jak na złość siadając do pisania, nie wiem czy zacząć list od tego, że już wszystko widziałem — czy też od tego, żem nie widział nic.

W istocie takiem jest moje położenie i na serjo nie wiem, czy to com widział może się nazwać widzeniem, czy też nie; zdaje mi się jednak, że to wszystko trzeba będzie raz jeszcze pilnie, porządnie i pokolei rozpatrywać, żeby się w głowie ułożyło i jakąś korzyść przyniosło.

Bądź co bądź, ponieważ te listy moje czytać pewno będzie niejeden taki, co zamyśla o podróży podobnej do tej jaką ja robię, więc żeby mu to czytanie na cokolwiek przydać się mogło, będę mówił o wszystkiem porządkiem, a z tego się okaże dla czego to patrząc od dwóch tygodni na Wystawę, jeszcze nie można powiedzieć że się ją widziało, bo się tylko uczyło jak na nią patrzeć.

Po wyjeździe z Berlina, zwiedziłem rozmaite jeszcze miasta po drodze. Jadąc trzecią klassą bardzo łatwo jest, a nawet czasem trzeba koniecznie zatrzymywać się tu i owdzie po kilka godzin. Z tego czasu korzystałem, żeby zobaczyć co się dało i tym sposobem poznałem Magdeburg, który jako miasto nie jest ani ładnem ani ciekawem, ale za to ma prześliczną katedrę i silne fortyfikacje; Hanower, który dziś rok temu jeszcze był stolicą osobnego królestwa, a teraz jest tylko miastem prowincjonalnem; poznałem Kolônją półkolem zarysowaną na lewym brzegu Renu, gdzie zwiedzenie słynnej na świat cały Katedry, od sześciu wieków budowanej a dotychczas nieukończonej, prawie całe kilka godzin mojego pobytu zajęło.

Po za Kolonją począwszy od Akwisgranu, już zaczyna się spotykać z językiem francuzkim.

Akwisgran jest miastem zbyt ciekawem, żebym się w niem nie miał zatrzymać. Coś mnie ciągnęło, żeby choć przez parę godzin popatrzeć na te mury, w których 35 królów i cesarzów kładło koronę. Zwiedzałem Katedrę tutejszą, widziałem grób Karola Wielkiego, widziałem wszystkie pamiątki jakie się tu znajdują i na których obejrzenie czas tak krótki mi pozwolił. Mówiono mi, że kto nie zna dziejów Akwisgranu, może je zobaczyć prześlicznie odwzorowane w wielkiej sali ratuszowej tutejszej, w pięknych freskach jakie pokrywają jej ściany. Nie mogłem ich widzieć i z żalem opuściłem miasto tylowiecznych pamiątek.

Od Akwisgramu do Leodjum kolej żelazna idzie okolicami przemysłowemi, którym jednak nagromadzenie co chwila się ukazujących osad fabrycznych, bynajmniej nie odbiera uroku jaki mają z natury. Nie wiedziałem na co patrzeć, czemu się przyglądać. Współjadący chętnie mi nazywali każdą miejscowość, która się ukazywała na chwilę i znikała. Wychylałem się z wagonu, żeby choć rzutem oka poznać i ocenić trudności z jakiemi tutaj połączoną była budowa kolei żelaznej. Pnie się ona na górę i w przestrzeni ośmiomilowej przebiega 19 tuneli, z których jeden jak mi mówiono, ma 1,110 łokci długości. Gdzie indziej znów po nad przepaściami budować musiano mosty, takie jak Göhlthalbrüske na 17 arkadach, trzysta kilkadziesiąt łokci długi a do 60 wysokości.

W Verviers już za belgijską granicą, potrzeba było zatrzymać się przez pięć kwadransów, zwiedziłem więc i to miasto słynne z fabryk sukienniczych, zatrudniających dwie trzecie części jego trzydziesto kilko tysiącznej ludności. Miasto było ciche i spokojne. Tu i owdzie z okien wyglądały oczy ciekawie przyglądające się obcemu, używającemu przechadzki w godzinie roboczej. W tem uderzyła dwunasta. Tysiące robotników wysypało się z rozmaitych zakładów. Ciche miasto zmieniło się na godzin parę w najgwarniejsze i najruchliwsze. Robotnicy mówią między sobą językiem, z którego ani wyrazu pochwycić nie mogę. Ma to być po wallońsku. Każdy jednakże umié po francuzku jako tako i z chęcią objaśnia cudzoziemca pytającego o drogę lub inne szczegóły. Nie tacy tu ludzie jak nasi bracia co to się śmieją i szydzą, gdy cudzoziemiec źle po polsku mówi. To też i szczęście, bo już w Verviers poczułem, że z francuzczyzną będę miał przez jakiś czas większą może biedę, niż z niemczyzną w Berlinie. Rozumieją mnie jako tako, chociaż mam wymowę fatalną i nim sobie w myśli coś z polskiego przetłómaczę, nim frazes ułożony powiem, to aż mnie wstyd jak się mój słuchacz nudzić musi. Przytem jak kto prędko mówi, to musi mi kilka razy powtarzać nim zrozumiem, a ci francuzi to już tak prędko mówią i tyle liter zjadają, że nie dziwota, że się z niemi nieprzyzwyczajonemu dogadać niełatwo.

Z Verviers pojechałem do Leodjum — nazywam to miasto tak jak się nauczyłem w Warszawie, bo tu wszystkie miasta ważniejsze mają aż potrójne nazwiska. Po niemiecku mówi się Aachen, Lüttich, Löwen, Mecheln, Brüssel; po francuzku Aix-la-Chapelle, Liége, Louvain, Malines, Bruxelles; po polsku Akwisgran, Leodjum, Lowanjum, Mechlin, Bruksella, albo nawet jak w jednej książce czytałem Brusiłów. Myślałem nad tem zkąd to pochodzić może, że te miasta każdy naród inaczej ponazywał kiedy inne we wszystkich językach nazywają się jednakowo i doszedłem do przekonania, że to dla tego, że wszystkie te miasta bardzo ważną odgrywały rolę w historji i dla tego każdy o nich wiedział i po swojemu je nazywał. Szkoda, że tak mało umiem historji i tylko o Akwizgranie wiem cokolwiek więcej, boć i Leodjum musiało kiedyś niemałą odkrywać rolę. Przynajmniej jego starożytne kościoły jak kościół Św. Jakóba, katedra św. Pawła, kościół św. Bartłomieja i inne, zdają się o tem mówić i zawstydzają przechodnia, że tak mało wié o tej przeszłości, na którą one patrzyły.

Dziwna mnie brała ochota zwiedzić fabrykę machin parowych Cockerilla w Seraing niedaleko ztąd położoną, w której do 6000 robotników pracuje i gdzie półtora tysiąca centnarów żelaza codziennie się zużywa, mimo starania jednak nie dostałem pezwolenia na zwiedzenie jej szczegółowe i musiałem odstąpić od zamiaru.

Ponieważ w Belgji koleje są tak tanie jak nigdzie, bo można za trzy franki jechać ośm godzin z Verviers do Ostendy, więc nadłożyłem cokolwiek drogi i pojechałem na Bruksellę. Ciągnęło mnie, żeby zobaczyć to miasto dwa razy większe od Warszawy, a zatem największe po Berlinie jakie na drodze z Warszawy do Paryża spotkać można.

W Lowanjum zatrzymawszy się na godzinę, widziałem ratusz, prawdziwe cacko budowy gotyckiej, przybrane niezliczonemi posążkami postaci ze Starego Testamentu i naturalnej wielkości statuami hrabiów Lowanjum i książąt Brabantu.

Czas odejścia pociągu i ztąd jak z każdego miejsca, odwołał mnie nazbyt prędko.

Kilkanaście godzin tylko, od rana do wieczora mogłem przepędzić w Bruksselli. Tutaj się nauczyłem, że z pobieżnego rzutu oka na mnóstwo rzeczy jedna po drugiej bardzo mało w głowie pozostać może, że chcąc widzieć trzeba patrzeć porządnie i uważnie, mieć czas, a jeśli czasu niewiele, to mieć doświadczonego przewodnika, co pokaże najważniejsze i najbardziej uderzające strony oglądanego przedmiotu. Inaczej w głowie zamiast jasnego pojęcia, utworzy się nieład i zamęt. Ja nie miałem ani czasu, ani przewodnika po Brukselli, to też kilkanaście godzin które w niej przepędziłem tak jakbym stracił, aż mi ich żal było dopraw-

dy. Ci panowie co to piorunem przelecą przez Europę i zdaje im się że podróżowali, powinniby zdaniem mojem takiego samego doznawać żalu. Bo i co komu z tego przyjdzie że rzucił okiem na wielkie miasto, kiedy tego miasta nie zrozumiał, jego przeszłości nie odgadł, jego teraźniejszości nie zbadał, nad jego przyszłością nie mógł się zastanowić? Wiem o Brukselli, że ma piękne ulice i śliczne kościoły jak katedra św. Guduli, albo Matki Boskiej Zwycięzkiej, albo Notre-Dâme de la Chapelle; że ma muzea, galerje i biblijoteki w których nie byłem; że ma prześliczne place i piękne ulice; że w miejsca do przechadzki uboga; że zamiast pięknej rzeki jaką takie miasto miećby powinno, zamiast Wisły lub Renu, ma nędzną rzeczkę, która niższą część grodu wyziewami swemi zaraża; wiem jeszcze, że położona częścią na górze, częścią na dole, ma mnóstwo ulic idących pod górę, które są plagą dla pieszych i udręczeniem dla koni; wiem wiele rzeczy w tym rodzaju, ale nie mogę powiedzieć, żem chociaż w przelocie poznał Bruksellę. Dlatego pisać o niej nie mogę, nie potrafię, tak jak w tej chwili chcąc podać o wystawie, muszę zacząć patrzeć na nią na nowo.

Z Brukselli bez zatrzymywania się już nigdzie, choć mnie brała ochota zeskoczyć z wagonu w Mons albo w Amiens, przybyłem do Paryża.

Przybyłem i zadziwiłem się sam sobie, żem dopiął tak trudnego zamiaru. Jeden z najmniejszych ludzi znalazłem się w największem mieście stałego lądu, w mieście—które nazywają i które jest niezawodnie stolicą cywilizacji tegoczesnej!

To też nic dziwnego że kiedym tu stanął, kiedym się wmięszał w ten nieprzeliczony tłum ludzi spieszących tam i napowrót, pieszo, omnibusami i powozami wszelkiego rodzaju, kiedym w uszach uczuł ten pomięszany hałas jaki tworzy turkot kół, gwar przechodniów, w połączeniu z najrozmaitszemi głosami przekupniów ulicznych zachwalających swój towar na najrozmaitszą nutę—bałem się czym nie zginął w tem olbrzymiem mieście, i powielekroć brała mnie ochota przekonać się, czym to ja ten sam prosty rzemieślnik—ślusarz warszawski, dla którego przed dwoma tygodniami miasto rodzinne było jedynem wielkiem miastem. Dotykałem się ręką czoła, tak jak to robi człowiek pragnący się przekonać czy nie jest wśnie przejemnym, który lada chwila przerwać może.

Żeby mi tu było jakoś łatwiej się obracać, nauczony brukselskiem doświadczeniem, postanowiłem przedewszystkiem wynaleźć sobie kogoś co oddawna w Paryżu mieszka i zaraz pójść do niego z prośbą o radę jak sobie poczynać.

Mam dobre nogi, w wagonie wysiedziałem się długo, a że francuzkie wagony trzeciej klassy są bardzo niewygodne i niech się schowają nietylko przed niemieckiemi, ale nawet przed naszemi, więc czułem nawet potrzebę rozchodzenia się trochę, dlatego postanowiłem iść piechotą, dopytując się o drogę do jednej z osób, których miałem adressa.

Zaraz pierwszy spotkany, którego zapytałem którędy iść potrzeba, radził mi pojechać omnibusem do Palais-Royal, a ztamtąd przesiąść się do innego, nie posłuchałem go jednakże.

Ażeby dać wyobrażenie jaki to kawał drogi od dworca kolei północnej do Auteuil gdzie być potrzebowałem, dosyć będzie powiedzieć, że jestem pewny iż przez ten czas zaszedłbym niezawodnie z Królikarni na Bielany, jeżeli nie dalej.

Takie to miasteczko ten Paryż!...

Ów pan do którego list miałem, był niegdyś prostym rzemieślnikiem tak jak ja. Wypadki i rozmaite okoliczności spowodowały, że od młodu przeniósł się pod obce niebo. Z początku pracował ręką, potem dorobił się nieco grosza, ożenił się i założył sklepik, czyli jak tu nazywają został episjerem. Sklepik szedł dobrze, tak dobrze że się rozwijał coraz bardziej, właściciel zaczął robić spekulacje, najprzód małe potem większe, raz kupił jakąś obligację i wygrał kilkanaście tysięcy franków. Potem znowu obracał temi pieniędzmi tak, że się stu tysięcy franków dorobił. Wtenczas powiedział sobie basta i został jak to mówią małym rentjerem francuzkim; ma kilka tysięcy franków dochodu, mieszka w Auteuil, żona mu umarła, dzieci nie miał, jest zdrów i nie stary jeszcze, ale nic nie robi, żyje z dochodu. Powiedział mi, że takie życie jest celem do którego dąży każdy episjer paryzki, z tą różnicą, że jeden chce być wielkim rentjerem, a drugi poprzestaje na małem. Nie chciało mi się bardzo wierzyć w to zdanie o episjerach paryzkich, bo cóż to jest za cel pragnąć bezczynności, kiedy jeszcze siły służą do pracy,—dosyć, że mój nowy znajomy jest typem takiego episjera. Mógłby wracać do kraju, ale mu się nie chce. Po polsku przez pół zapomniał, mówi jakoś dziwnie z francuzka. Jednak ma czasu dużo i chętnie mi go poświęca, a ja korzystam z jego znajomości Paryża i uczę się przy nim więcej może, niż on się przez lat tyle nauczył.

— Czy daleko ztąd do pałacu wystawy?—zapytałem go po wyuczeniu pierwszych objaśnień, gdym pierwszy raz przyszedł do niego.

— Zależy..... odpowiedział z francuzka.

— Jakto?—zapytałem, czyż mogą być tak różne drogi z Auteuil na plac Marsowy?

— Droga na plac wystawy jest jedna, to prawda, ale kto pałac chce widzieć nie potrzebuje się fatygować tak daleko. Proszę ze mną.

Poszedłem z nim, niebardzo rozumiejąc czego chce.

Zaprowadził mnie do kawiarni znajdującej się na przeciwko domu w którym mieszkał. Zawołał o dwie *glerje*, a ja nie wiedziałem co to znaczy. Nim je podano wziął mnie pod rękę i poprowadził do wielkiej zwierciadlanej kuli, która się znajdowała w ogródku.

— A co?—rzekł pokazując mi ją—widzisz?

— Co takiego?

— Ależ pałac wystawy—mówię po raz setny.

— Gdzie?—zapytałem zdziwiony.

Tu pan Paweł (takie było bowiem imię mojego nowego znajomego) wskazał palcem na pierwszy lepszy dom rysujący się w polerowanej powierzchni szklannego globu.

— Lecz to zupełnie niepodobne do tego co mi pokazywano — zawołałem, widziałem ze dwadzieścia rysunków pałacu.....

— Jeżeli ci się wydaje niepodobne toś źle patrzył, mój młody przyjacielu—odrzekł pan Paweł,—w pałacu wystawy tak jak w tem odbiciu, które się w tej kuli przedstawia nie ma ani jednej linji prostej, wszystko wypukłe i wydęte jak balon, albo krynolina. A że krynoliny wychodzą z mody, więc też i pałac niewiele wart.

Pan Paweł obyczajem wszystkich paryżan chciał być dowcipnym i zamiast pokazać mi pałac wystawy.... pokazał mi jego karykaturę...

Widzę jednak że się rozpisuję zanadto, odkładajac więc resztę do przyszłego listu, dołączam tylko tutaj rysunek pałacu wystawy, ażeby czytelnicy osądzić mogli, o ile jest prawdziwem zdanie pana Pawła, że się przedstawia jak piękny budynek w zwierciadlanej kuli.

Józef Niepowie.

GAWĘDY WARSZTATOWE.

I.

Kalendarz Domowy.

W Wigilją Bożego Narodzenia z rana pan Błażej Kwicz majster stolarski, mający obszerny warsztat na Podwalu, wyszedł na miasto załatwić parę interesów, odwiedzić kilku znajomych i zrobić niektóre sprawunki.

Wszystko to razem zaciągnęło go dosyć daleko od domu i miało się już dobrze ku południowi, kiedy pan Błażej postanowił wrócić z Nowego Światu do siebie.

Idąc macał się po kieszeniach i przypominał czy jakiego sprawunku nie zapomniał, lecz że miał pamięć dobrą, więc mógł sobie przyznać, że powracał obładowany tem wszystkiem, co przy dniu wigilijnym potrzebnem było jeszcze dodać do poprzednio porobionych zapasów i że z bakalji zadysponowanych przez panią Błażejową, nic a nic nie było zapomnianem.

Mając wypakowane wszystkie kieszenie, a nadto paczki w ręku i pod pachą, zaczął się rozglądać czy jaki omnibus nie nadjeżdża, nie myślał bowiem wydawać na doróżkę tam gdzie mu szło nietyle o pośpiech jak o oszczędzenie fatygi, gdy w tem wpadł mu w oczy umieszczony w jednym z handlów utrzymujących zarazem kantory pism perjodycznych, napis: „Kalendarz na rok 1867”.

Pan Błażej wstąpił, kupił pięć egzemplarzy *Kalendarza Domowego*, zapłacił rubla i obciążony tym nowym sprawunkiem, który dla braku miejsca w kieszeniach trzymać musiał w ręku, stanął przed sklepem upatrując na nowo czy omnibus nie nadjeżdża.

W istocie wkrótce nadciągnął jeden, pan Błażej ruszył ku niemu, ale że to w wigilją ruch w mieście daleko większy, więc mu tylko konduktor w przejeździe dał znak, że wszystkie miejsca zajęte i trzeba było pozostać na bruku.

Chcąc wsiąść do doróżki wypadało ruszyć ku stacji, gdyż nie było żadnej pod bokiem, puścił się tędy pan Błażej pod Kopernika.

Nim jednakże doszedł do miejsca, zatrzymał go głos znajomy.

— Wesołych świąt, panie Błażeju, wesołych świąt, a toż mi wyglądacie jak frachtowa bryka. Kieszenie takie pełne, tyle tego wszystkiego w rękach... pod pachami. Jeśli myślicie wstąpić do kościoła, to nie probujcie przejść przez boczne drzwi bo się pokaże, że za wązkie.

Spotykającym, który tak wesoło żartował sobie z pakunków pana Błażeja, był jego przyjaciel, kum i sąsiad, majster ciesielski pan Antoni Skamień.

Pan Błażej z uśmiechem odpowiedział na życzenia, powitanie i niewinne żarciki pana Antoniego.

Tym sposobem zawiązała się krótka rozmowa, w czasie której pan Antoni rzucił okiem na trzymane przez pana Błażeja książki.

— Ho! ho! i tyle książek kupiliście, panie Błażeju, rzekł nieco zdziwiony, pokażcież mi jakie to?

— *Kalendarz Domowy*, na rok przyszły.

— A inne?

— Wszystko kalendarze, kupiłem aż pięć egzemplarzy...

— Bójcie się Boga panie Błażeju, toż to wyrzucone pieniądze. Któż to kupuje pięć razy jedną książkę?..

Pan Błażej się uśmiechnął.

— Powiedzcież mi panie Antoni, czy to będzie co złego, jeśli ludziom którzy u mnie pracują dając dzisiaj kolendę, dodam do niej po kalendarzu!..

— A to poco, odparł pan Skamień, jeżeli chcą wiedzieć jakiego świętego albo jakiej świętej którego dnia, toż przecie mogą wszyscy w jednym kalendarzu zobaczyć. Dosyć przybić na ścianie kalendarz ścienny za złotówkę. A już co o świętych, to oni i bez kalendarza wiedzą.

— Mielibyście racją panie Antoni, zauważył pan Błażej, gdyby w kalendarzach byli tylko święci i święta, gdyby z nich nic innego dowiedzieć się niebyło można jak tego kiedy przypada święto.

— Bo też tam jest niewiele więcej. Kiedy nów, kiedy pełnia, wiadomości przydatne tylko na to żeby gusła mnożyć; przepowiednie pogody, które się nie sprawdzają nigdy; jakie przepisy kuchenne o których pierwsza lepsza gospodyni wie, albo które na nic się nie zdadzą; wreszcie parę konceptów starych... niedarmo przecież mówią o każdym starym koncepcie: że jest konceptem z kalendarza.

— Długoby wam na to odpowiadać trzeba panie Antoni, odrzekł pan Kwicz, ale że czasu mam niewiele, więc się z wami szeroko rozprawiać nie będę, i nie będę się kłócił nawet o to coście powiedzieli, że wiadomości o zmianach księżyca służą tylko do szerzenia guseł, chociaż nad związkiem zmian księżyca ze stanem powietrza zastanawiali się bardzo uczeni ludzie i powszechnie jest już wiadomem, że księżyc ważny wpływ na pogodę wywiera. Idzie mi tylko o to, że obecnie w Kalendarzach rozumie się wydawanych przez ludzi sumiennych, już nie stare koncepta i odgrzewane przepisy kuchenne, lecz rzeczywiście pożyteczne wiadomości i przyjemne a nauczające rzeczy się mieszczą. Kalendarz kosztuje tanio, daleko taniej jak książka odpowiedniej wielkości, książka raz przeczytana rzuca się w kąt i rzadko znowu bierze do ręki, kalendarz pozostaje w ręku przez cały rok, dla tego kalendarz uważałem za korzystniejszy podarunek od książki i do zwykłej kolendy go dodaję. Spodziewam się że ci którzy go dostaną, skorzystają na odczytaniu go i zachęcą się do czytania innych książek. Tym sposobem cel mój bądzie dopięty.

— I wy myślicie, panie Błażeju, że oni go czytać będą?

— Tak myślę, i sądzę że się nie zawiodę.

— A ja wam powiadam, że żaden do ręki go nie weźmie, chyba żeby zobaczyć jak prędko będzie jakie uroczyste święto, rzekł pan Antoni, gotówbym się założyć gdyby to było można sprawdzić.

— Przyjmuję zakład, odpowiedział pan Błażej, i dopomogę do sprawdzenia kto z nas miał słuszność.

— A więc o butelkę wina, zaproponował pan Antoni.

— Nie chciałbym się zakładać o wino, odrzekł pan Błażej, ale niech będzie zgoda. Postawię butelkę węgierskiego jeżeli przegram—ale jeśli wygram, a wygranej jestem pewny, to wy panie Antoni zamiast wina kupicie pięć egzemplarzy kalendarza i rozdacie go swoim ludziom.

— A to mi się podoba! rozśmiał się pan Antoni, jeśli wygram zakład, to wino winem zostać musi, a kalendarze moim ludziom kupię tylko nie za waszą wygraną, a za moje własne pieniądze. Inaczej zakład byłby nierówny.

Na tem stanęła zgoda. Pan Skamień poszedł w swoją stronę, a pan Kwicz wsiadł do omnibusu.

Sześć tygodni upłynęło blisko od tej rozmowy i w dzień niedzielny, 3 Lutego przypadło świętego Błażeja, a że pan Kwicz ma prawie wszystkich których zna przyjaciółmi, jest bowiem majstrem słynnym z poczciwości, ma jakieś osobliwe szczęście do ludzi i że dzień jego imienin przypadł szczęśliwie w dniu wolnym od pracy, więc się gęsto schodzili kumowie i sąsiedzi i szczere składali mu życzenia, a pani Błażejowa czem chata bogata, przed wszystkiem zaś dobrem sercem, ochoczo wszystkich podejmowała.

W liczbie innych i pan Antoni Skamień przyszedł nawiedzić sąsiada kuma.

O zakładzie niebyłoby zapewne mowy, bo i pan Błażej i pan Antoni zapomnieli już dobrze o owem wigilijnem spotkaniu, przypadek jednak nasunął im to na myśl.

W ciągu rozmowy wypadło panu Błażejowi pokazać panu Antoniemu jakąś na ukończeniu będącą sztukę roboty, weszli więc obydwaj do warsztatu, gdzie dwóch chłopców korzystając z Niedzieli, przepędzali czas na zabawie.

Właśnie gdy pan Błażej pokazywał swoje dzieło, jeden z chłopaków chwalił się przed drugim swoim majątkiem, a był w istocie jak na terminatora nie pomiernie bogaty, wyciągnął bowiem z kieszonki papierowego rubla i kilka dziesiątek.

— Patrzaj Janek, co mam pieniędzy, — rzekł do towarzysza.

Zagadnięty Janek zawołał z komicznem uniesieniem:

„Ach! jakiż to szelest luby!
Jakie miłe dźwięki!
Musiał zacnie ten grosz gruby
Wpaść do twojej ręki!

Wierszyk ten wpadł do ucha pana Antoniego i zadziwiło go nieco, że kilkonasto-letni wyrostek z własnej ochoty zapewne, boć trudno żeby go kto do tego zmuszał, kawałków rymowanych się uczy.

— Co to panie Błażeju, rzekł z uśmiechem — toż u ciebie chłopaki w Niedzielę po południu wierszami między sobą gadają?

— Jakto? spytał pan Błażej, wierszami?...

— A tak, dalibóg uważałem, ten rozczochrany Janek, to poeta. Coś gadał właśnie jakby wiersze... gruby—luby, dźwięki —ręki.

Chłopacy umilkli, widząc że majstrowie zwrócili uwagę na ich rozmowę; pan Błażej pytającym wzrokiem spoglądał na Janka, niechciało mu się bowiem wierzyć, żeby pracując heblem można było się nauczyć i wyrazy w gładki a potoczysty wierszyk wyheblować, a zakłopotany Janek odgadując myśl jego, poskrobał się w głowę i wybąknął:

— I!.. to tam z kalendarza, proszę pana majstra.

— Jak to więc ty czytałeś kalendarz? zapytał żywo pan Skamień, przypominając sobie o zakładzie jaki zrobił z panem Błażejem.

— Czytałem proszę pana, calusieńki.

— No i cóż ci się tam podobało? pytał pan Skamień.

— A i co mnie się miało niepodobać proszę pana, odpowiedział nieśmiało Janek, toć to ludzie mądrzejsi odemnie ułożyli, to wszystko ciekawe i ładne.

— Ale powiedz że mi co w niem jest, w tym kalendarzu, żebym się przekonał, żeś ty go czytał cały.

— Tyle rzeczy, proszę pana co jabym i do jutra rana nie opowiedział: i o kaplicy pana Jezusa u *Fary*, i o marnotrawnym synu, i o jakimiś poczciwym Trynitarzu księdzu Tomaszu Pawłowskim co był prawdziwym dobrodziejem biedaków, i o jakimś angliku co był razem węglarzem i muzykusem, przez co żył z najpierwszemi panami choć węglę po ulicach sprzedawał...

Ej! czy tylko nie bredzisz, rzekł pan Antoni.

— Bynajmniej, objaśnił pan Błażej, jednym z artykułów *Kalendarza Domowego* jest życiorys Tomasza Brittona węglarza, który był zarazem znakomitym wiolonczelistą i mimo stosunków z najpierwszą arystokracją nie zaprzestał swego zajęcia.

— Zwyczajnie anglik... dziwak, zauważył pan Skamień i dalej egzaminował chłopca, co jeszcze czytał w kalendarzu.

— Ja tylko mówię piąte przez dziesiąte, proszę pana, ale są tam rzeczy bardzo ciekawe o różnych dziwnościach, o kraju co się nazywa Abisynja gdzie sam ogon barana waży 50 funtów, o trzęsieniach ziemi, wulkanach, o pukających stołach że to głupstwo, o wielkoludach...

— Nie prawda, o wielkoludach nie ma nic, odezwał się milczący dotąd drugi chłopak, który przedtem pokazywał pieniądze.

— Ja też chciałem powiedzieć o wielorybach, poprawił się Janek.

— No i więcej nic nie ma, rzekł pan Błażej.

— Jest... ale bo to wszystkiego na raz spamiętać i powtórzyć niepodobna. To bardzo dobra książka. Są i obrazki. Ale ja to najlepiej lubię wiersze, bo to się najłatwiej napamięć nauczyć.

To mówiąc, Franek deklamować zaczął prosty lecz piękny wiersz:

W wdowiej chacie nędza się rozsiada,
Stara matka od strapienia blada
Po swym gaździe...

— Po swym gaździe?... a cóż to jest gazda? podchwycił szybko pan Antoni.

— O wiem, odpowiedział wesoło Janek, pytałem się już pana majstra, gazda to jest gospodarz w chacie góralskiej....

Na tem się zakończył egzamin, z którego pokazało się że chłopcy obaj przeczytali *Kalendarz Domowy*, zrozumieli i spamiętali wiadomości w nim zawarte; pan Antoni jednakże nie chciał się mieć za zwyciężonego i utrzymywał, że chłopcy czytali dlatego, że są pod okiem majstra,—ale żeby czytała czeladź, co z swego wolnego czasu nikomu niezdaje rachunku... o tem jeszcze powątpiewał.

Wkrótce jednakże i ta wątpliwość zwycięsko rozproszoną została: przyszło bowiem dwóch czeladników pana Błażeja, pan Michał Szparko, młody człowiek, przyjemnej i poważnej fizognomji i pan Franciszek, starszy już od pierwszego, a przez kolegów przezywany *więc-więc*, dla zbyt częstego a nieraz wcale niewłaściwego używania tego wyrazu.

Pan Antoni, który się szczerze zainteresował kalendarzem, bo mu to butelką wina pachniało, natychmiast zwrócił rozmowę na ten przedmiot.

— Przyznam się szczerze, mówił pan Michał Szparko, że kiedy nam nasz majster dał w wigilją po kalendarzu, to mi się trochę śmiać chciało. At, jakaś nowa moda, myślałem. Co nam tam prostym stolarzom, po książkach. Ale raz w Niedzielę z rana zacząłem przeglądać, nie mając nic lepszego do roboty. Biorę do ręki i mówię sobie: *kaplica pana Jezusa* w *katedrze*,... ba! i któż z nas jej nie zna?... pomijam, idę dalej.. *Owca zbłąkana i syn marnotrawny*.... toć to już w kościele słyszałem... *ksiądz Tomasz Pawłowski*, nie znałem tego księdza... *Klemens Janicki*, ani wiem co to za-jeden... i tak przerzucałem i przerzucałem kartki, a tylko patrzyłem na tytuły i ciągle nie chciało mi się czytać.. Aż nareszcie napotykam: *Czerwony afisz*, powiastka, napisał Wołody Skiba, i myślę sobie...

— Myślę więc sobie, przerwał śmiejąc się pan Franciszek, że to więc na każdym rogu ulicy widzieć więc można.

— Ale gdzie znów, kończył pan Michał, otóż myślę sobie: powiadają, że i sam Salomon z pustego dzbanka nienaleje, jakim tedy sposobem ten pan Wołody Skiba mógł aż dwadzieścia kilka stronnic o jednym czerwonym afiszu napisać. Zaczynam tedy czytać... czytam, czytam... i pokazało się, że pan Wołody Skiba (musi to być introligator), z jednego czerwonego afisza wcale niezłe cacko ukleił... Kiedy tak, myślę sobie, to niezawadzi i cały kalendarz przeczytać I przeczytałem wszystko, a niektóre rzeczy po parę razy. A najlepiej mi się podobały powieści jak o *Jacku Kępczyku* co się za garniec wódki sprzedał, albo o tej Oksanie, której w drogę wlazła liberja, a ona myślała, że to *Licho-Rzeszoto*. Od tego czasu już co niedziela regularnie książki czytywać będę i czytuję.... i przyznam się państwu, że to wcale przyjemna zabawka.

— Ja więc, zaczął z kolei pan Franciszek, także szczególnie polubiłem ten *Kalendarz Domowy*, więc pan go nieczytał, panie Skamień?

— Nie czytałem, odpowiedział pan Antoni z uśmiechem spoglądając na pana Błażeja, ale zdaje mi się, że teraz aż pięć razy przeczytać go będę musiał.

— Pięć... więc pięć?... dla czego więc pięć? pytał pan Franciszek.

— A! bo przegrałem zakład zrobiony w wigilją Bożego Narodzenia z panem Błażejem i przekonałem się dzisiaj, że

warto pisać i kupować książki dla ludzi twardą pracą po warsztatach zajętych. Bądź pewnym panie Błażeju, że odtąd nie dam ci się wyprzedzić i że na przyszłość ludzie moi nie mniej od twoich wiedzieć będą o dziełkach do ich pojęcia zastosowanych.

— A więc, znów prawił pan Franciszek, kiedy pan Skamień nie czytał kalendarza, to ja państwu opowiem co to więc jest ten *Czerwony Afisz.* Oto więc trzeba wiedzieć że Franek Kozik, więc kochał się w Anusi na ulicy Wilczej, a tę Anusię więc zaczepił pan Edward, a więc Franek Kozik obronił i potem więc widywali się, a jego ledwie namówili, żeby się więc z nią ożenił, bo ona bogata, a on więc biedny... ale on znalazł te pieniądze, więc i oddał.

— Ależ jakie pieniądze? kto go namawiał? dopytywał się pan Antoni, a pan Franciszek siląc się na objaśnienia, coraz bardziej się plątał w swojem ulubionem *więc*, aż nareszcie zakończył:

— Więc jak pan sobie kupi kalendarz, to pan przeczyta i dowie się więc.

Śmiech ogólny wybuchnął na tę konkluzją.

* * *

Byłem i ja na imieninach pana Błażeja i przysłuchiwałem się tym gawędkom.

Będąc zecerem, miewam sposobność częstą widywania panów literatów, a ile razy którego z nich zobaczę zaraz drga we mnie jakaś żyłka autorska. Ale dotąd nie śmiałem żadnemu z redaktorów powierzyć żadnego z płodów mego pióra, spisywanych najczęściej na odwrotnych stronach poprawionych korrekt. Bałem się zawsze krytyki.

Dziś gdym usłyszał jak czytelnicy warsztatowi sądzą autorów którzy dla nich piszą, kiedym się przekonał, że w sporym zbiorku prac rozmaitych żadnego szczegółu nie znaleźli do skrytykowania, nabrałem śmiałości i dla nich pisać postanowiłem. Są łaskawi na innych, tem też będą łaskawsi na kolegę, brata.

A na początek mego autorskiego zawodu, spisuję rozmowę, która mnie do sięgnięcia po literackie laury ośmieliła.

Piotr Bywały,
towarzysz sztuki typograficznej.

TYPY WARSZAWSKIE.
III.
DRUCIARZ.



Kolebką moją chatka nie duża,
Tam u wyniosłych Karpat podnóża —
Wcześnie z tej chatki wygnał mnie głód.
Ojciec i matka nie mieli chleba,
Więc mi już dzieckiem było potrzeba
Burką wełnianą okryć ramiona,
I pójść z rodzinnej miłości łona
W świat, gdzie mnie owiał serc obcych chłód.

W torbę podróżną na tę wyprawę,
Matka trzydniową dała mi strawę,
Zlała twarz moją strumieniem łez;
I tak poszedłem ubogi, bosy,
Nie narzekając na twarde losy,
Nie pozwalając łzom spłynąć z powiek...
Czasem z litością przyjął mię człowiek,
A czasem nogi szarpał mi pies.

Przybyłem wreszcie do tego grodu,
I dzięki pracy nie znam tu głodu,
Boć nie lada czem jest praca ma:
Niby to medyk sławny i wzięty,
Kuruję drutem garnki pacjenty,
Lub jak mechanik stawiam machiny,
Co mają śpiżarń strzedz od ruiny
I łapać myszy złośliwych sta.

Dopomagają mi dobrzy ludzie,
Bym miał kęs chleba przy ciągłym trudzie,
Bym grosz dla ojców odłożyć mógł.
Miłą mi dla nich poczciwa praca,
Niech im za serce Niebo odpłaca,
A za zarobek chętnie mi dany,
Niechaj ich życia czerep gliniany
Szczęściem i zdrowiem drutuje Bóg.

Wołody Skiba.

KORRESPONDENCJA OD REDAKCJI
Opiekuna Domowego.



— *Panu C. majstrowi stolarskiemu z Pańskiej ulicy.* Kiedy rozpoczną się odczyty dla klas pracujących, nie wiemy jeszcze z pewnością. Uwagę Pana co do wprowadzenia do odczytów technologji, a mianowicie naukowych wiadomości o drzewie i przedmiotach z drzewa wyrabianych, uważamy za zupełnie słuszną, spodziewamy się przy urządzaniu odczytów, na których konieczność tak Pan silnie i serdecznie nastajesz, przedmiot wyżej nadmieniony opuszczonym nie zostanie.

— *Panu M. w Koszyku.* Wierszyk pański p. n. „Moje marzenia,“ podług słusznego przewidywania, spoczął rzeczywiście w koszu redaktorskim.

— *Panu T. Po.... w Kuryłówce.* Poezja: „Śmierć po złem życiu,“ w Opiekunie domowym drukowaną być nie może.

— *Józefowi z nad Wisły.* Nie zrażasz się pan odmową Redakcji w pomieszczeniu pańskich prac i nadsyłasz dalsze. Cóż kiedy „*Rozpacz Wiochny*“ jest rozpaczliwie nudna ramota. Wytrwałość więc pańska w obecnym razie na pochwałę i zachętę zasłużyć nie może.

PODSŁUCHANE GDZIE SIĘ ZDARZY.
(Przed wejściem do ogródka)

JÓZEF. Ileżeś dziś wypił kufelków, Michale.

MICHAŁ. Sześć.

JÓZEF. No to bądź zdrów, muszę się zrównoważyć z tobą. Pójdę i wypiję jeszcze dwa.

MICHAŁ. Wiesz, ja ci podam inny sposób zrównoważeniu. Chodźmy obaj, wypijemy po dwa, a ty za wszystkie cztery zapłacisz.

JÓZEF. Piękna mi równowaga!... ja będę po sześciu, a ty po ośmiu...

MICHAŁ. Najpiękniejsza... ja będę po ośmiu, ale ty razem za ośm zapłacisz.

JÓZEF. Tak, ale ja będę po sześciu!...

MICHAŁ. To też i ja zapłaciłem już za sześć!

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej—Redaktor: ADAM MIECZYŃSKI.